

Przygody wojaka Janunia, czyli jak to w wojsku bywało...

(Dokończenie ze strony 17)

Zbiór ten nazwałbym opowiadaniem informacyjno-unaoczniającym, wręcz autobiograficznym. Fabuła osnuta jest przecież na wydarzeniach z życia autora. Trudno nawet dopatrzeć się w nich fikcji literackiej. Pisarz posługuje się czasem teraźniejszym dla przedstawienia przeszłych zdarzeń, ich skonkretyzowania i uplastycznienia. Pisarz zawsze powinien dążyć do prawdy w kreacji świata przedstawianego nawet w utworach z zakresu literatury pięknej.

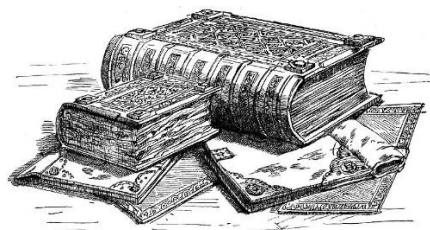
Co ciekawe – autor ukazuje zdarzenia ze swojej służby chronologicznie – od wyjazdu z domu do jednostki wojskowej, poprzez codzienność koszarową aż do pożegnania koszar, a kończy opowiadaniem *Proces* (str. 89). Szeregowy Słodek-Janunio, będąc już w cywilu, został oskarżony o to, że notorycznie uchylał się „od stawiania się do służby w rezerwie”. Co go uratowało od kary? Zachęcam do przeczytania tego i wielu innych opowiadań. A czytelnik chyba cały czas ma wrażenie, że jest obecny wśród wojaków, szczególnie towarzysząc głównemu bohaterowi, choć dla niego i pozostałych jest niewidoczny.

Rysunki w zbioru urozmaicają i dopełniają treść opowiadań (jest ich 5, z których 4 nie mają daty „narodzin”; czyżby były ponadczasowe?). Charakterystyczna kreska pisarza jest rozpoznawalna. Chociaż rysunki („ludzi”) są do siebie podobne w formie, to jednak trzeba im się uważnie przyjrzeć, pobudzić wyobraźnię, zagłębić się w otaczający nas świat.

Myślę, że warto sięgnąć po te miniatury prozatorskie. Jedni przypomną sobie zasadniczą służbę wojskową, drudzy z pewnością nie będą żałować, że spędzili trochę czasu w koszarach i poza nimi z wojakiem Stępiem-Janunim.

Tadeusz Stolarski

Jan Stępień, *Wojak Janunio*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Rysunki, projekt okładki: Jan Stępień. Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2021, s. 92.



Historia pewnego napisu

Ryszardowi Zegarowskiemu

Jest to całkiem niepozorne miasteczko o sympatycznej nazwie. Słowo „całkiem” uzasadnia wyjątkową wierność tradycji jej mieszkańców, z czego znane jest nie tylko w Wielkopolsce. Przewodniki turystyczne określają je jako ciekawą miejscowość. Otóż w okresie Wielkanocy kultywowane są dwa obrzędy: straż grobu Pańskiego (według legendy dobranie po odsieczy wiedeńskiej w 1683 roku, służący pod komendą króla Jana III Sobieskiego przebrali się w zdobyczne tureckie stroje i wstąpili do kościoła, by podziękować za szczęśliwy powrót; nie było straży przy grobie Chrystusa, więc sami zaciągnęli wartę w barwnych mundurach z szablami i tak jest do dziś, nazywani po swojsku Turkami, których obowiązuje specjalna musztra) oraz procesja Emaus (kontynuowana od roku 1855 wyłącznie przez mężczyzn, którzy idą dookoła miasteczka przez pola, ścieżki, polne drogi – dziękując przy napotkanych krzyżach za dobrą urodzajną ziemię i obfite plony).

Gdy się przyjeżdża do miasteczka z północnego zachodu (już drogą krajową numer 83) ze stolicy powiatu mija się rzeczkę Teleszynę (zwaną przez mieszkańców – dla łatwiejszej wymowy – Wielkim Rowem) wybija się znacząco wieża kościoła, zbudowanego w stylu neobarokowym.

Czas opowiadania to siódmy rok od zakończenia największej wojny światowej, która była niespotykaną pożogą w dziejach ludzkości, przynoszącą totalne zniszczenie materialne oraz bardzo znaczące pograżanie się czasu nieoswojonego. Bieda dotknęła nie tylko gospodarkę, ale i ludzi, oświatę i kulturę. Sierniejszy był to okres. Jednym z ważniejszych miejsc, w których toczyło się życie miasteczka była siedmioklasowa szkoła podstawowa.

Za jej siedzibę wybrano najbardziej okazały budynek (nie licząc kościoła rzymskokatolickiego), znajdujący się w zbiegu Placu Wojska Polskiego i ulicy Dekiarta. W międzywojniu urzędował w nim magistrat. Jeszcze sięgając bardziej w lata minione, była to obecność i tak zresztą nazywany był ten budynek przez najstarszych mieszkańców.

Najważniejszą funkcję w tej ówczesnej placówce oświatowej pełnił kierownik (dopiero w latach późniejszych szkołami podstawowymi zaczął rządzić dyrektor; co by nie powiedzieć: tytuły nic nie kosztują). Tak się złożyło, że został nim pochodzący z białoruskich ziem II Rzeczypospolitej absolwent seminarium nauczycielskiego. Wręcz naturalną rzeczą się stało, że został nauczycielem języka rosyjskiego, który w następnych latach wyrugował naukę innych języków obcych (w naszej szkole języka francuskiego). Nauczyciel rosyjskiego kazał się swojsko nazywać Iwanem Osipowiczem; był przystojnym wysokim mężczyzną i często lubił demonstrować swą

energii, co było całkiem zrozumiałe – był szefem szkoły. Wyraznym tego objawem było rzucanie z trzaskiem na stolik nauczycielski dziennika lekcyjnego. Nie bardzo to się uczniom spodobało, a szczególnie tym z szóstej „A”. Wpadli na oryginalny pomysł psikusy i wysypali sporo tabaki między kartki dziennika. Skutek był wiadomy: okruszyny tytoniu zaczęły fruwać i wypełniły przestrzeń klasy, drażniąc nosy i podniebienia. Zapanowała tabakowa mgła. Język rosyjski nie był lubianym przez uczniów przedmiotem. Trudno winić Iwana Osipowicza, był jedynie obiektem / symbolem, przed którym demonstrowano niezadowolenie. Brało się to z wielu powodów. Uczniom wiadomo było, że Polska nie ze swej woli trafiła pod „opiekuńcze” skrzydła potężnego sąsiada ze wschodu, którego ustrój nie był pożądanym ani cenionym przez większość Polaków; że stało się to za sprawą tzw. Wielkiej Trójki w Jałcie, która mówiąc najprościej haniebnie sprzedała swojego sojusznika. Uczniowie VIa mieli wyjątkowe szczęście, że począwszy od pierwszej klasy ich wychowawczynią była wybitna pedagogka, nauczycielka języka polskiego Rozalia Miła (potocznie nazywana Milanką). W środowisku szkolnym wyróżniała się nie tylko głęboką wiedzą, przekazywaną swoim uczniom z wyjątkowym zaangażowaniem, wręcz oddaniem. Była to poważna osoba, do której odnoszono się z uznaniem i honorami, tak jak do powszechnie szanowanych doskonale przygotowanych do zawodu przedwojennych nauczycieli. Miała wielki wpływ na uczniów, ich poglądy, patriotyczne odniesienia. Należy dopełnić, że biegle władała językiem francuskim. W okresie międzywojnia uczyła polskie dzieci, których rodzice przyjechali do Francji „za chlebem”, by mogli pracować, głównie w kopalniach węgla kamiennego. W czasie lekcji języka polskiego i wychowawczych opowiadała o życiu we Francji i jej stolicy Paryżu, prezentując posiadane albumy fotograficzne.

Bardzo zainteresowała uczniów jej podróże po Saharze; dotarła kolejną do końcowej stacji Biskra, oazy powstałej na pustyni przy źródle słodkich wód gruntowych. Był to absolutnie egzotyczny temat, gdyż wiedza uczniów o Afryce kończyła się na znajomości wiersza o murzynku Bambo. Uświadamiała, że świat nie kończy się na budowie „upragnionego” (socjalistycznego) ustroju, że są inne kraje godne naszej uwagi.

Zachęcała uczniów by przynosili na lekcje medale zdobyte przez ojców / znajomych za bohaterską walkę na frontach II Wojny Światowej (np. za udział w zwycięskiej bitwie armii Andersa o Monte Cassino).

Nietrudno było zapamiętać: był ciepły letni poranek, uczniowie przyszli na lekcję ubrani do „figury” bez płaszczy/kurtek, nic nie wróżyło niczego wyjątkowego, jednak w szkole stało się coś o czym należy opowiedzieć. Czwórka uczniów o pamiętnych imionach: Elżbieta, Ryszard, Artur, Maria napisała (każdy po literze) na pełnej wysokości tablicy dużymi rosyjskimi literami wyraz o znaczącej wymowie: ŻOPA, co w przekładzie na polski znaczy po prostu DUPA (a mówiąc elegancko po łacinie, *sempiterna*).